



SZYMON NOWAK

DZIEWCZYNY

WYKŁĘTE

FRONDA

**DZIEWCZYNY
WYKŁĘTE**

SZYMON NOWAK

**DZIEWCZYNY
WYKŁĘTE**

FRONDA

Okladka
Anna Kierzkowska

Zdjęcie na okładce
Marco Marzilli
(zdjęcie pochodzi ze zbiorów Grupy Rekonstrukcji Historycznej Borujsko)

Redaktor prowadzący
Bartłomiej Zborski

Redakcja
Ewa Popielarz

Korekta
Katarzyna Szol

Skład i łamanie
TEKST Projekt, Łódź

Copyright © by Szymon Nowak
Copyright © by Fronda PL, Sp. z o.o. All rights reserved.

ISBN 978-83-64095-61-0

Wydawca
Frona PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. 22 836 54 44, 877 37 35
faks 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofrona.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo

*Moim dziewczynom
Asi, Marysi i Ani*

Wstęp

Kobiety to niewątpliwie najwrażliwsze dzieło boskiej ręki Stwórcy. Delikatne, kruche, przepełnione uczuciami.

Kobiety w obliczu II wojny światowej i Dziewczyny Wyklęte bezpardonowo zmagające się z sowieckim imperializmem i reżimem komunistycznym to dzielne, niezłomne Polki, które oddały Ojczyźnie swoje najpiękniejsze lata, swoją młodość i swoje życie. Zapatrzone w najjaśniejszy cel przyświecający ich działaniom – walkę o Wolność i Niepodległość – zdały próbę najszczerzego patriotyzmu, dotarły do ostatecznego kresu drogi, do więziennej kraty lub kuli wystrzelonej przez agentów bezpieki albo pluton egzekucyjny. W tych okrutnych czasach ramię w ramię z mężczyznami żyły, walczyły, kochały i... umierały zbyt młodo.

Wojenne historie Dziewczyn Wyklętych rozpoczęły się, zanim jeszcze pojawili się w naszym kraju pierwsi Sowieci i ich polscy komunistyczni poplecznicy. Większość z tych, których dzieje przedstawiam w niniejszej książce, miała swój udział w konspiracji antyniemieckiej, pod szyldami Armii Krajowej lub wojskowych organizacji narodowych – Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW) i Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ). A kiedy ze wschodu przyszło tzw. wyzwolenie, wszystkie te kobiety zrozumiały, że wolna Polska nadal żyje tylko i wyłącznie w ich wyobrażeniach i marzeniach, nadal istnieje tylko w ich sercach. Widziały, że kraj, który Sowieci i komuniści stworzyli nad Wisłą oraz rozreklamowali jako niepodległy i ludowy, tylko z nazwy jest demokratyczny i polski. Dlatego wróciły do podziemia, wspomagając chłopców z konspiracji. Swoją postawą

dawały wyraz swej dezaprobaty wobec tego „czerwonego”, dzikiego państwa, chyba tylko dla zmylenia nazywanego wówczas Polską. Walczyły z narażeniem życia, zdrowia i własnej wolności.



Moje bohaterki inaczej od mężczyzn odczuwają i przeżywają walkę oraz konspiracyjną służbę. Ich wrażliwość sprawia, że w czasie działań wojennych w większym stopniu skupiają się na ocaleniu, ratowaniu, na leczeniu i otaczaniu troską rannych, chorych, głodnych oraz sierot niż na samych bojowych czynnościach. Ich zadaniem jest budować i tworzyć, a nie niszczyć i zabijać. Wojenne historie kobiet to nie opowieści o walce zbrojnej, ale o życiu, uczuciach i emocjach. One wciąż pamiętają, kto i w którym miejscu został ranny, jakiego użyły środka dezynfekcyjnego i czy wystarczyło im wtedy bandaży. Wspominają, który ranny mógł iść o własnych siłach, a kogo musiały nieść, jaki partyzant w bólu wzywał matkę lub żonę, a kto na ratunek przywoływał samego Boga.

Książka, którą oddaję do rąk Czytelnikom, jest przede wszystkim hołdem złożonym tym polskim bohaterkom, często anonimowym i bezimiennym, które nie złożyły broni i przypominały bolszewickiemu okupantowi, co znaczą słowa: Ojczyzna, Wolność i Niepodległość. To wołanie w imieniu ich własnym oraz ich rodzin – o pamięć. W tych kilkunastu opowiadaniach odkrywamy ich historie. Pamiętajmy o ich odwadze i poświęceniu, by o Dziewczętach Wyklętych mogli usłyszeć również ci, którzy przyjdą po nas.

Prawdziwe dzieje Dziewczyn Wyklętych zostały przedstawione w formie zbeletryzowanej, wraz z dialogami. Dlatego także wszystkie biblijne cytaty zamieszczone w książce zaczerpnięto z Biblii Tysiąclecia, wydanej po raz pierwszy w 1965 roku, a więc nieznannej Wyklętym. Takie spopularyzowanie historii to celowy zabieg. Nie odbiera nic z autentyczności bohaterkom i opisywanym wydarzeniom,

.....

Longin Wojciechowski „Ronin” i dwie nieznanne z nazwiska kobiety. „Ronin” to jeden z bliskich współpracowników „Łupaszki” z czasów działalności antyniemieckiej i dowódcą 4 Brygady Wileńskiej. Po wojnie poszedł na współpracę z bezpieką (Instytut Pamięci Narodowej)

a dodaje lekturze lekkości. Odbiorca, zainteresowany losami walczących kobiet, w przyszłości będzie mógł sięgnąć także po bardziej naukowe, historyczne opracowania.

Na zakończenie składam wyrazy wdzięczności osobom, bez których pomocy ta praca w ogóle by nie powstała. Za możliwość spotkań, rozmów, korespondencji, za fotografie z rodzinnych archiwów dziękuję Kobietom Wyklętym oraz ich dzieciom: Jadwidze Krzysztanowicz z d. Bojarskiej ps. Wanda, Lidii Lwow-Eberle ps. Lala, Danucie Szyksznian-Ossowskiej z d. Janiczak ps. Sarenka, Krystynie Winiarz z d. Świątoniowskiej, Barbarze Kozak (córce Zofii Gągały), Zbigniewowi Kurasiowi (synowi Czesławy Kuraś), Januszowi Niemcowi (synowi Janiny Żubryd) i Andrzejowi Pityńskiemu (synowi Stefanii Pityńskiej).

Ponadto za wkład w usystematyzowanie wiedzy oraz za przekazanie zdjęć ilustrujących niniejszą książkę dziękuję: Danucie Ciesielskiej, Ewie i Bogumiłowi Liszewskim, Annie Ordyczyńskiej, Dionizemu Garbaczowi, Sebastianowi Gatnerowi, Mirosławowi Łapie, Krystianowi Pielasze, Tadeuszowi M. Płużańskiemu, Tomaszowi Sawickiemu, Bogdanowi Siejce i Stanisławowi Szymuli; jak również: Zgromadzeniu Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo z Krakowa, Instytutowi Pamięci Narodowej, Komisji Historii Kobiet w Walce o Niepodległość oraz Narodowemu Archiwum Cyfrowemu.



PEREŁKA



Miało się ku wieczorowi i dzień się już nachylił, a czerwień zachodzącego słońca przyświecała jeszcze złowróźnie nad wsią. Choć strzały w Kuryłówce wygasły, to w powietrzu czuć było wciąż ostry zapach strzelniczego prochu, swąd dymu i spalenizny. Dopiero co zakończone dudnienie wystrzałów spowodowało, że powietrze nadal falowało i drżało, jak gdyby nadciągała burza. Zwierzęta, które pochowały się podczas walki, zaczęły powoli wychodzić z ukrycia i gasić pragnienie. Kilka psów lizało rany zabitych, a może tylko rannych, żołnierzy. Sowieci uciekli, pozostawiając sporo trupów, ale i polskich partyzantów nie ominęły straty. Z naszej strony zginęło siedmiu ludzi, pięciu było ciężko rannych. Tych ostatnich znoszono i opatrywano na miejscowej plebanii, a sanitariuszki oraz ksiądz dwoili się i troili, by ulżyć im w cierpieniach.

Dwudziestoletnia Stefania Krupa została trafiona pod koniec bitwy. To prawdziwy pech – była sanitariuszką i biegła z pomocą rannemu koledze, ale po drodze coś podcięło jej nogi. Próbowała się jeszcze podnieść, by dopaść do potrzebującego, lecz już nie zdołała. Lewa noga stawała się coraz bardziej bezwładna, a z dziur po postrzale tryskała krew. Czy czuła strach? Rany wyglądały przerażająco. Spróbujcie wbić sobie w nogę z całych sił ostrza wideł, a potem gwałtownie je wyszarpnijcie. Właśnie tak to wyglądało – małe dziurki w równych odstępach. No i strużki krwi, miarowo wypływające z otworów po sowieckich nabojach. Potem okazało się także, że jedna z kul (a była to cała seria z wrogiej pepeszy) uszkodziła kość. Stefania nie straciła przytomności, w pobitewnym i pourazowym

szoku obserwowała wszystko, co się wokół niej działo. Ci, którzy znosili ją z drogi, próbowali być bardzo delikatni, ale „Perełka” czuła się jak bezwładna kłoda drzewa targana po wertepach, a potem jeszcze chybotająca się w takt nierównych kroków noszowych. Noszowych? Jakich znowu noszowych? Żadnych noszy nie było – partyzanci nieśli ją na jakiejś starej wyblakłej kapie znalezionej w jednej z najbliższych chat. Przy kościele na plebanii koleżanki sanitariuszki zaraz zajęły się jej ranami. Spod lekko przymkniętych powiek obserwowała świat, jej twarz stawała się nawet nie blada, lecz szara, a rysy w grymasie bólu wyostrzały się. Zagryzła wargi, kiedy bezpośrednio na ranę lali jej roztwór kalihpermanganikum, stary, ale sprawdzony środek odkażający. A potem sprawne ręce obandażowały ranę.

– Trzymaj się, mała – rzuciły jej na odchodne sanitariuszki i musiały biec dalej do kolejnego rannego.

– Nie umieraj tylko – ostrzegła jedna z nich.

Nie chciała teraz umierać, była za młoda! Chciała żyć! Pragnęła poznać tego najukochańszego, jedyne. I jak każdy – wziąć ślub, urodzić dzieci, mieć rodzinę. A tu takie nieszczęście i ciężka rana.

– Chciałabym mieć chłopca, a potem męża – szepnęła księdzu, który właśnie udzielał ostatniego namaszczenia konającemu obok żołnierzowi.

– Panienko – odrzekł ksiądz Węglowski lekko zmęczonym głosem – a ja bym chciał, żeby wszyscy komuniści wymarli. Naprawdę – zaśmiał się nienaturalnie, ale nie odszedł. Zbliżył się do Stefanii tak, że końcówka zakrwawionej stuły wisiała przed jej oczyma.

– Moje dziecko, nie minie rok, a będziesz miała swego wymarzonego wspianiałego męża, od zaraz będę się o to modlił. Obiecuję.

Pocałował ją w czoło i odszedł ciąc prześcieradła na bandaż. W tej samej chwili „Perełka” zauważyła, że cichną odgłosy bitwy. Coraz rzadsze strzały zwiastowały koniec walki. Ale czy to był kres obrony naszych, czy też koniec natarcia wroga? Obok przegalopowało

kilku konnych jeźdźców. Nasi uciekają? I co teraz? Wejdą Ruskie i wybiją wszystkich rannych, jak to było w Surkontach? Nie słyszeliście? Po tamtej walce Sowietci z NKWD (Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) dobijali rannych Polaków. Żeby oszczędzić amunicję, uśmiercali ich wprawnymi dźgnięciami swych długich stożkowych bagnatów. Raz za razem, każdego z osobna, wszystkich, do samego końca...

– Wygraliśmy! – zakrzyknął ktoś obok podnieconym młodzieńczym głosem.

To prawda! Choć z pewnością przewaga była po stronie sowieckich wojsk NKWD, pod Kuryłówką wygrali Polacy. Do leżącej Stefanii podbiegł jej brat – Michał, zdyszany, ale szczęśliwy.

– Jak tam, siostrzyczko? E tam, tylko noga. To nic wielkiego. W końcu ma się dwie – zaśmiał się ze swojego dowcipu. – Dobrze, że to nic poważnego. Wiesz, jest decyzja, że będziemy się wycofywać, jeszcze nie wiem, jak i gdzie, ale powoli żegnaj się z Kuryłówką.

Chciał pogłodzić siostrę po głowie, ale wyszło mu niezgrabne pacnięcie, więc tylko potar mosił jej włosy. Michał ps. Wierzba pobiegł dalej, a Stefania została sama. No, nie całkiem, wokół leżeli inni ranni, niektórzy jęczeli, niektórzy wzdychali, inni szeptali bezgłośnie słowa modlitwy.

– Pani, wysłuchaj modlitwy nasze, a wołanie nasze niech do Ciebie przyjdzie – w otchłaniach skłębionych myśli odnalazła tylko melodię i słowa przepięknych Godzinek. – Błogosławmy Panu, Bogu chwała, a dusze wiernych zmarłych przez miłosierdzie Boże niech odpoczywają w pokoju. Amen.

* * *

Wojna jest straszna. Nie daj, Panie Boże, wojny. To wojna prze-rwała szczęśliwe i beztrioskie dzieciństwo Stefanii. To wojna sprawiła,

że zamiast się uczyć, musiała konspirować. Nie używała już książek, pióra. Nie czytała gazet i nie pisała listów. Nawet rozmowy i spotkania z rówieśniczkami ograniczyły wojna, okupacja, godzina policyjna. Stefania Krupa urodziła się w 1925 roku w Kuryłówce w powiecie leżajskim. Do wybuchu walk zdążyła ukończyć szkołę powszechną. Potem zostały jej jedynie tajne komplety i nauka przysposobienia wojskowego. Przez tych zaprzańców – Hitlera i Stalina – normalne życie wszystkich Polaków wywróciło się do góry nogami.

– Chcę konspirować – powiedziała któregoś dnia swemu bratu.

Na początku wyśmiał ją – wiadomo, przecież Michał był od niej starszy aż o pięć lat. Jednak minęło kilka dni, a brat sam wrócił do tematu rozmowy. Na wstępie przedstawił trudności i niedogodności życia konspiratorów podziemnej armii. Miało to naturalnie zniechęcić Stefanię. Potem opowiedział, co może się stać z rodziną, z nią samą, kiedy gestapo wpadnie na jej trop i zaczną się aresztowania. Przestrzegął praktycznie przed wszystkim.

– To nie dla ciebie – mówił, dodając, że jest na to zbyt delikatna.

Zniechęcał, ale równocześnie dawał czas do namysłu. Był wtedy rok 1943 i wiele zmieniło się od wybuchu wojny. Po pierwsze, Niemcy



.....

Stefania Pityńska z d. Krupa „Perelka” (zbiory Andrzeja Pityńskiego)

dostawali solidnego łupnia na wschodzie i przegrywali bitwę za bitwą. Po drugie, polscy partyzanci coraz śmielej sobie poczynali w terenie. Bardzo wielu znajomych gdzieś należało, coś robiło w wielkiej tajemnicy, znikano co pewien czas na kilka dni. Stefania też tego chciała i nie ustąpiła, więc brat koniec końców wciągnął ją do organizacji. Była to Narodowa Organizacja Wojskowa, scalona z Armią Krajową. Przysięgę złożyła z kilkorgiem innych osób w jakiejś tajnej konspiracyjnej kwaterze. Był krzyż, płomień świecy i jakaś nienaturalna wręcz powaga w szeregach tych młodych ludzi. Jako pseudonim Stefania wybrała sobie określenie „Perełka” – tak w dzieciństwie, kiedy miała kilka lat, mawiał do niej ojciec: jesteś moją perełką. Wreszcie mogła konspirować. Jej zadaniem było początkowo utrzymywanie konspiracyjnej placówki w Kuryłówce. To wtedy poznała bliżej Jankę Oleśkiewicz ps. „Jaga”, z którą dzieliła tę podziemną misję. Dziewczęta szybko się zaprzyjaźniły.

Po pechowej i przegranej przez Polaków partyzanckiej bitwie w Grabie (grudzień 1943 roku) spaleni u niemieckiego okupanta konspiratorzy musieli się ukryć w lesie. Tak również postąpiła Stefania, dołączając do oddziału Józefa Zadzińskiego „Wołyniaka”, gdzie zaufanym człowiekiem był jej brat – Michał Krupa. To wtedy jej zadania stały się trudniejsze i wymagające. Była łączniczką, sanitariuszką, zajmowała się zdobywaniem informacji i ochroną osób. Okazało się, że mimo obiekcji brata nadawała się do partyzantki – świetnie jeździła konno i (to raczej rzadkość wśród kobiet) rzucała celnie nożem. Uzbrojona była najczęściej w niezawodny rewolwer Nagant, bagnet oraz dwa granaty, a ubierała się po męsku – nosiła spodnie i wysokie buty z cholewami oraz ostrogami. Często wysyłano ją na stację kolejową do Leżajska, gdzie jako łączniczka i przewodniczka doprowadzała do oddziału przybywających w ten rejon oficerów i kurierów podziemnej armii, gdyż świetnie знаła okoliczne lasy. Kilkakrotnie w ten sposób eskortowała np. siostrę „Wołyniaka” – Alinę Glińską.

* * *

Obolałe ciało obijało się o gołe deski wiejskiego wozu, a konie mozolnie wspinały się na leśne piaszczyste pagórki, by za moment z nich zbiec przy akompaniamencie hałasu nienaoliwionych osi furmanki. Majowa noc, nisko leżące mgły i chłodny, ale przyjemny zapach lasu kołysały nerwy i łagodziły niepewność. Chociaż miarowy turkot powinien działać usypiająco, to Stefania nie zmrużyła oka. Przez głowę przewijały jej się obrazy z dnia poprzedniego. Bitwa, ranni, umierający z zasnutymi śmiertelną mgłą oczami. Dopiero teraz zaczęła się bać. O siebie, o bliskich, o przyszłość. Może wydawać się to prozaiczne, ale najbardziej bała się o swoją zranioną nogę. Być może była wtedy egoistką, ale drżała na myśl o tym, co będzie, kiedy konieczna okaże się amputacja.

– Spokojnie, jeszcze sobie potańczysz – pocieszał ją ktoś na odchodne, kiedy zbierali się z plebanii, ale „Perełka” nie była tego taka pewna, no bo jak będzie tańczyć na jednej nodze? Przecież to niemożliwe, a przynajmniej wyglądałoby to nieszczególnie.

Partyzanci zorganizowali podwozy, na które zabrali rannych towarzyszy. Ładowano po dwie osoby na wóz. Stefania jechała z ciężko rannym młodym chłopakiem. Już wieczorem kilka wozów wraz z eskortującymi kolumnę uzbrojonymi partyzantami odjechało w stronę Jarosławia. To w tamtejszym szpitalu miano zostawić najcięższej rannych.

Chłodna majowa noc nie sprzyjała spaniu. Skulona na wozie „Perełka” nie miała się czym przykryć i do czego przytulić. Garść słomy rzucona na podłogę wozu pod rannymi wiele nie pomogła. Jej, na razie bezimienny, towarzysz cicho pojękiwał i ciężko oddychał. Bandaże na jego karku i nogach wskazywały, gdzie otrzymał rany. Ich biel powoli ciemniała od przesiąkającej krwi. Stefania mimochodem,

szukając choć odrobiny ciepła, przesunęła się w stronę rannego. I jeszcze raz, coraz bliżej.

– Och tam – myślała – majaczy, więc pewnie i tak nic nie zauważy. A zawsze lepiej się przytulić i ogrzać, niż marznąć bez potrzeby.

Kiedy jej ciało przylgnęło do ciała bezmiennego rannego, poczuła wreszcie ciepło i zrobiło się jej jakoś lżej. Znowu próbowała się modlić, ale tym razem jej myśli uleciały daleko, w inny, lepszy i bezpieczniejszy wymiar. Tuż przed zaśnięciem znów była w domu, tym najprawdziwszym, rodzinnym. Było ciepło, na kuchni palił się ogień, a za stołem siedzieli młodzi mama i tata. Biegła do nich, by się przytulić, ucałować, siąść im na kolanach. Chciała powiedzieć rodzicom, jak bardzo ich kocha, jak za nimi tęskni. Pragnęła wykrzyknąć, że nie chce już okropności wojny. Nie zdążyła dobiec – twardo usnęła.

– Boli cię? – usłyszała cichy męski szept nad swoim uchem.

– Słucham?

– Pytam, czy rana cię boli.

– A, rana. No tak, jasne, że boli. Trochę boli. – Dopiero teraz w świetle dnia mogła przyjrzeć się lepiej twarzy współtowarzysza niedoli i podróży. Znała go, choć słabo. W oddziale wołano na niego „Kula”, a u „Wołyniaka” zajmował się bronią i amunicją. Choć był młody, pełnił tam bardzo ważną funkcję zbrojmistrza. Wcześniej nawet jakiś czas kwaterował wraz z innymi chłopcami w rodzinnym domu Krupów. „Perełka” dopiero teraz się dobudziła i w pełni otrzeźwiała. Spojrzała pielęgniarskim okiem na „Kulę” i zaczęła wypytywać o jego rany.

W ostatniej bitwie pod Kuryłówką „Kula” dowodził drużyną partyzantów i własnoręcznie obsługiwał erkaem. A trzeba przyznać, że w partyzanckich bojach ta broń była najskuteczniejszym wsparciem polskich żołnierzy. Bo przecież nie mieli oni czołgów, samolotów i armat, a ciężkie, nieporęczne cekaemy nie nadawały się do szybkich przemarszów,

ucieczek przed obławami i dalekich odskoków. „Kula” chwalił się, że już wielu Sowietów posłał „do diabła Stalina” tą swoją niezawodną bronią. Tak było i w Kuryłówce, gdzie na lewym skrzydle powstrzymywał natarcia NKWD. Było gorąco, ale w porę przybył Józek Zadziński z odsieczą i praktycznie wygrał dla nas tę bitwę. Kiedy Polacy rzucili się do kontrataku i gonili uciekających Sowietów, natrafili na ich drugą linię i okopane cekaemy. Natarcie nie załamało się, ale kilku chłopców padło w ogniu. Jednym z nich był właśnie „Kula”, któremu kule rozorały kark i poharatały nogi. Faktycznie, nawet jego długi płaszcz był poniżej kolan przestrzelony jak sito. I tak ciężko ranny „Kula” znalazł się na wozie zdążającym do szpitala, obok rannej „Perelki”.

– Panie woźnico – zapytali kierującego wozem rolnika z Tarnawca – czy wie pan, jak daleko jest do Jarosławia i jak długo będziemy jeszcze jechać?

Niestety nie wiedział, ale jechali już całą noc i ranek, więc może niedługo wreszcie ktoś zarządzi postój.

– Mam prośbę – powiedziała cichutko Stefania do „Kuli”, kiedy rana zaczęła jej od nowa dokuczać – może byś położył rękę na mojej ranie? Rodzice zawsze mówili, że dobry dotyk leczy.

Nie musiała dwa razy powtarzać. Męska dłoń delikatnie spoczęła na jej obandażowanej nodze.

– Nadal nie lubicie się z Michałem? – zapytała Stefania, przypominając sobie niedawne niesnaski pomiędzy partyzantami.

– Nie. Wszystko już jest dobrze – odpowiedział „Kula”, ale zaśmiał się w głos, przypominając sobie, o co im właściwie poszło. Zdrowy, szczery śmiech podrażnił rany i skończył się szybko sykiem bólu. – Lubię Michała i lubię ciebie. Zawsze lubiłem. Bardzo – powiedział, a jego dłoń bezwiednie powędrowała w górę, ponad zabandażowane rany dziewczyny. „Perelka” zdecydowanie przytrzymała jego rękę i opuściła z powrotem na ranę. Jej kojące ciepło choć trochę łagodziło ból.

* * *

Incydent, o którym wspomnieli, wydarzył się nie tak dawno. W sumie była to błażostka, ale początkowo podzieliła „Kulę” i „Wierzbę”. Swego czasu Michał bardzo narzekał na swoją broń. Raz wkurzony cisnął pistolet maszynowy na stół, mówiąc, że ten grat ciągle mu się psuje i zacina w największej potrzebie.

– Dałbyś mi jakąś inną, lepszą maszynkę – powiedział w końcu do „Wołyniaka”.

W grupie partyzantów, którzy szykowali się do kolacji, nastąpiła chwilowa konsternacja. Pretensje „Wierzby”, chociaż skierowane bezpośrednio do Zadzińskiego, ubodły „Kulę”, który, jak wiadomo, w oddziale odpowiadał za broń.

– Chodź ze mną – powiedział do Michała, a wszyscy ciekawi wyszli za nimi. Zaprowadził „Wierzbę” do stodoły, wskazał na wielką sieczkarnię i mówi: – Masz, chłopie, oto twoja maszynka. Lepszej nie potrzebujesz.

Nim rozbrzmiała salwa śmiechu ubawionych dowcipem towarzyszy, wściekły Michał rzucił się na „Kulę” i razem wypadli ze stodoły,



.....

Aleksander Piłyński „Kula” (zbiory Andrzeja Piłyńskiego)

łamiąc po drodze drewniane solidne wrota. Szybko ich rozdzielono, ale od tamtej pory krzywo na siebie patrzyli. Michał nie mógł łatwo wybaczyć „Kuli” takiego żartu.

Aleksander Pityński ps. Kula był o rok młodszy od Stefanii, urodził się w 1926 roku w Ulanowie, powiat nizański. Już na samym początku wojny rodzinę Pityńskich dotknęła tragedia – 9 września 1939 roku podczas bombardowania Ulanowa zginęła Józia, szesnastoletnia siostra Olka. Widząc barbarzyństwo niemieckich okupantów i masową robotę konspiracyjną rodaków, Aleksander w roku 1942 włączył się do konspiracji NOW-AK, a następnie wstąpił do oddziału Franciszka Przysiężniaka „Ojca Jana”. Przyjął pseudonim „Kula”, a w oddziale ukończył konspiracyjną podchorążówkę. Brał udział w wielu walkach i potyczkach partyzanckich. Walczył między innymi w wielkiej bitwie na Porytowym Wzgórzu, podczas której jedynie dzięki determinacji zastępcy „Ojca Jana” – Bolesława Usowa „Konara” (który dowodził oddziałem podczas nieobecności Przysiężniaka) – udało się ocalić ludzi i wyjść z okrążenia, ratując nawet do trzech tysięcy partyzantów z innych grup (także radzieckich i z Armii Ludowej). Po operacji „Burza” i przetoczeniu się frontu leśni żołnierze zostali zdemobilizowani, a „Kula” wraz z innymi powrócił do domu w Ulanowie. Niedługo jednak cieszył się spokojem, gdyż jeden ze współtowarzyszy wydał swych kolegów z konspiracji i w Ulanowie NKWD wraz z Urzędem Bezpieczeństwa (UB) rozpoczęły aresztowania. Aleksander również został zatrzymany, lecz uciekł z siedziby bezpieki, skacząc z okna pierwszego piętra na głowy zaskoczonych strażników. Za umykającym posypały się strzały, ale „Kula” zdążył zbiec. Przez kolejny tydzień ukrywał się w ulanowskim kościele. Kiedy komunistyczne wojsko wyjechało z miasta i w całym rejonie trochę się uspokoiło, Aleksander przeprawił się przez San i dotarł do Kuryłówki. Tam spotkał „Wołyniaka”, którego dobrze znał z czasów konspiracji i walki w grupie „Ojca

Jana”. Józef Zadziński był instruktorem we wspomnianej podchorążówce i to on uczył „Kulę”, jak być żołnierzem.

* * *

Kolumna wozów wjechała do wsi i wreszcie zarządzono postój. Czas był ku temu jak najbardziej odpowiedni. Podróż trwała bez przerwy całą noc i rano, a teraz miało się na Anioł Pański. Według prowadzącego grupę „Wołyniaka” długi czas marszu i przebyta droga gwarantowały pomyślny odwrót po bitwie, bez ryzyka bycia dościgniętym przez uzbrojonych komunistów. Wszyscy byli zdziwieni niezwykłą gościnnością mieszkańców wsi pod Jarosławiem. Wkrótce wyjaśniło się, że w okolicy grasowały bandy Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA), które nocami podstępnie napadały i paliły polskie wsie. Przybycie uzbrojonych partyzantów „Wołyniaka” gwarantowało mieszkańcom czasowe bezpieczeństwo. Zadziński postanowił zatrzymać się tutaj na dłużej i poszukać kontaktów ze szpitalem w Jarosławiu, by tamci lekarze bez problemów przyjęli jego żołnierzy, gdy ci przybędą na miejsce.

Natychmiast też zajęto się rannymi. Podano im wodę do picia, a potem sprawdzono opatrunki. „Perłękę” i „Kulę” przeniesiono do jednej z chat, a życzliwi domownicy stawiali się na każde ich zawołanie. W tej spokojnej izbie odpoczęli, umyli się i najedli do syta. Dziwne, ale mieszkańcy tego domu traktowali rannych jak małżeństwo, a Stefania i Aleksander nie wyprowadzali ich z błędu. Uśmiechali się tylko szeroko do siebie i... było im dobrze. Kiedy serca ogarnia miłość, rany cielesne mniej boją. Nikt nie zaprzęta sobie głowy dziurą w ciele po ruskiej kulce, gdy obok znajduje się ukochany. Żadna z osób nie myśli o przesiąkniętym krwią bandażu, gdy przy boku słyszy równy oddech swego wybranka. Mimo ran to były jedne z najszcześniejszych chwil w życiu „Perłęki”.

Sprawy ruszyły z miejsca po kilku dniach. Do stacjonującego oddziału partyzanckiego nadeszła informacja, że w kierunku Jarosława zmierza grupa pogorzalców po napadzie UPA, a do tamtejszego szpitala ma przybyć większa liczba Polaków rannych w tym ukraińskim ataku. „Wołyniak” szybko zdecydował, że należy wykorzystać nadarżającą się okazję i spróbować do szpitala przemyścić najciężej rannych z własnego oddziału, którzy bezwzględnie muszą otrzymać pomoc ambulatoryjną. Natychmiast zorganizowano transport i wozy z rannymi w asyście kilku żołnierzy ruszyły w stronę miasta. Wybieg się udał i ranni trafili pod fachową opiekę. Niestety był to również czas rozstania dla Stefanii i Aleksandra. Ona trafiła na oddział kobiecy, on – męski. Przez kilka dni pobytu w szpitalu czuła się strasznie samotna bez „Kuli”. Oboje ranni w nogi nie mogli od razu zacząć wstawać, by się odwiedzić. Ale kiedy „Perełka” zamykała oczy – widziała Aleksandra, słyszała jego głos. Niemal namacalnie wyczuwała jego obecność. Nie mogąc już dłużej wytrzymać, któregoś wieczoru wygrzebała się z łóżka z pomocą innych pacjentek. Ktoś podał jej starą laskę, dzięki której pokuśtykała na obchód szpitala w poszukiwaniu ukochanego. Po drodze wypytała pielęgniarki, jak trafić do Aleksandra, i wkrótce, podskakując na jednej nodze, otworzyła białe drzwi szpitalnej sali. Pierwsze, co ją uderzyło, to cisza i jakiś duszny zapach. No i półmrok panujący w pomieszczeniu. Odnalazła bladego Aleksandra i przytuliła się do niego mocno, aż jęknął z bólu.

– Dobrze, że jesteś – szepnęła mu czule do ucha, a „Kula” lekko się uśmiechnął.

– Zabierz mnie stąd – poprosił. – To umieralnia. Wszystkich wynoszą z tej sali po kolei nogami do przodu. Muszę się ruszyć, bo nie wytrzymam tutaj. Proszę, pomóż mi.

Pielęgniarki dziwiły się, widząc na szpitalnym korytarzu parę niezgrabnie utykających pacjentów, którzy na pytanie: „co wyczyniacie?”, odpowiadali: „idziemy na spacer”. W piwnicach budynku znaleźli

jakiś składzik na brudną bieliznę, ale to im wystarczyło. Chcieli być sami, bez żadnych lekarzy, pacjentów, bez świadków. Z dala od wojny, śmierci, kul, które ranią bądź zabijają. Stefania pragnęła zapomnieć na chwilę o bólu w nodze i niepewności jutra. Młodzi zakradli się do składziku i zatrzasnęli za sobą drzwi. Ktoś, kto przypadkiem znalazłby się nieopodal, mógłby usłyszeć strzępy rozmowy.

– Kocham cię. Ożenisz się ze mną?

– Tak, tylko przytul mnie mocno.

* * *

Choć może się to wydać nieprawdopodobne, młodzi całą noc spędzili jedynie na długich rozmowach. Kiedy ze świtaniem wrócili do swych łóżek i szczęśliwi zasnęli, wczesnym rankiem obudził ich jakiś przedziwny ruch i harmider w budynku. Prędko wyszło na jaw, że do szpitala ma przyjechać grupa z UB, by szukać polskich partyzantów. Podobno jeden z ciężko rannych, półprzytomny w gorączce, wygadał się, że jest od „Wołyniaka”. Ktoś niepowołany to usłyszał i zatelefonował do ubeków z donosem. Na szczęście pielęgniarka usłyszała tę rozmowę i dała znać ordynatorowi. Od samego rana na korytarzu trwała bieganina i wynoszenie „niebezpiecznych” rannych. Parę osób wywieziono samochodem do zaprzyjaźnionej rodziny byłego AK-owca. Innych ciężko rannych postanowiono ukryć na terenie szpitala. A tego, od którego zaczęło się całe nieszczęście, przeniesiono na inną salę, dano mocny zastrzyk z morfiny i obandażowano od stóp do głów. Odpłynął i nie bredził już o narodowej konspiracji u „Wołyniaka”. „Perelkę” razem z „Kulą” ukryto w... piwnicznym magazynku na brudną bieliznę. Ale nie było już tak przyjemnie jak ostatniej nocy. Towarzyszyło im jeszcze dwóch rannych, a zresztą wszyscy z niepokojem wsłuchiwali się w dudniące kroki na korytarzu i schodach. Chociaż komuniści przetrzasnęli wszystkie sale i zbadali

tożsamość każdego pacjenta – nikogo podejrzanego nie znaleźli i zabrali się z powrotem.

Po takiej przygodzie lekarze nie chcieli już ryzykować i niebawem wszystkich rannych z ich oddziału przeniesiono na tajne kwatery. Szczęśliwie Stefania i Aleksander trafili do tego samego domu, gdyż już oficjalnie przedstawiali się jako para narzeczonych. Ich rany szybko się goiły, a zakochani wiele czasu spędzali na wspólnych spacerach, choć musieli się wspomagać laską lub kulami. Ten beztrudny czas bardzo podobał się Stefanii. Wówczas zdecydowana była dzielić swe dalsze życie z Aleksandrem. „Kula” również nie odstępował narzeczonej na krok. Najgorsze dla młodych było to, że chociaż wojna się teoretycznie zakończyła, w dalszym ciągu w Polsce trwały walki. To sowieckie komanda NKWD lub zdrajcy Polski z UB wyłapywali prawdziwych patriotów z AK lub NSZ. Chodziły słuchy o wielkich bitwach, szturmach na więzienia i posterunki milicji, obławach, aresztowaniach i rozstrzeliwaniach. W tych dniach pozbawionych



zmartwień jedna sprawa zaprzętała głowę „Perełce” – obawa o przyszłość. Jak mogli pozbyć się swej dawnej tożsamości związanej z oddziałem partyzanckim? UB już raz zatrzymało Aleksandra, więc nie mógł on ot tak sobie wrócić do normalności.

Kiedy oboje podleczyli rany i podziękowali gospodarzom za opiekę, udali się nie do rodzinnych domów, lecz do leśnego oddziału „Wołyniaka”. Trafili tam akurat w czasie, kiedy jesienne szarugi zniechęcały do konspiracyjnego bytowania w partyzanckich obozach. Dlatego też Stefania często wybierała się do swych rodziców do Kuryłówki.

Któregoś dnia oświadczyła im, że przyjęła oświadczyny Aleksandra Pityńskiego z Ulanowa.

– A czym on się zajmuje? – spytali rodzice, mając nadzieję na dobrze ułożonego przyszłego zięcia, z porządnym fachem w rękę.

– On jest... partyzantem – wybąkała „Perełka” i łyzy stanęły jej w oczach. Domyślała się, jakie zastrzeżenia mogą mieć mama i tata. Przecież partyzant to żaden zawód. Co więcej, taka osoba, sprzeciwiając się komunistycznej władzy, staje się niejako wyklętym bandytą, a nie szanowanym obywatelem.

Wszyscy posmutnieli, a matka objęła czule córkę.

– Oj, córuś, córuś, nie będziesz ty miała łatwego życia. Oj, nie będziesz – zmartwiła się.

– Mamo, ale ja go kocham – odrzekła „Perełka”, szlochając w matczynych objęciach.

Koniec końców rodzice pobłogosławili Stefani i jej przyszłemu mężowi. Mimo trudnych czasów radzili im wziąć prędko ślub. Przy pożegnaniu przestrzegli „Perełkę” przed zbyt częstym odwiedzaniem

rodzinnego domu. Mieli dziwne przeczucie, że obcy kręca się po Kuryłówce. Jakież podejrzane typy często obserwowały ich domostwo. Być może wcale to nie Stefania była przedmiotem tej inwigilacji, a raczej jej brat – Michał, który przecież także był u „Wołyniaka”. Tak czy inaczej, dziewczyna obiecała rodzicom, że zachowa ostrożność i da znać o przyszłym ślubie. Bo przecież kogo jak kogo, ale ojca i matki na tej uroczystości nie powinno zabraknąć.

* * *

Styczeń roku 1946 był mroźny i ciężki. Brakowało wszystkich najpilniejszych rzeczy, łącznie z jedzeniem. Ale ludzie jakoś rażniej patrzyli w przyszłość. Skończyła się przecież wojna i każdy miał nadzieję, że w końcu ta nowa Polska zostanie uczciwie wyprostowana politycznie. Polacy liczyli, że komuniści sami udławią się swoją władzą, a sprawiedliwe wybory ukażą prawdziwy stosunek obywateli do tych, narzuconych siłą, rządów. Jeszcze wówczas ludzie naiwnie wierzyli w uczciwe wybory, rzetelne sądy, w zwykłą sprawiedliwość.

Dnia 20 stycznia 1946 roku, w mroźną niedzielną noc, w świetle księżyca jasno srebrzyła się wstążka zamarznętej rzeki Złotej. W ciemności zdawać się mogło, że zimowy czas zatrzymał się w tej zagubionej gdzieś we wschodniej Polsce wsi. Ale oto miarowe zgłuszone uderzenia setki butów na leśnej drodze wydeptywały w śnieżnym puchu przejście. Ciemny szereg kroczących postaci odcinał się na białym tle, a starannie naoliwione lufy pistoletów i karabinów odbijały promienie księżyca. Oddział wojska wyszedł z lasu i, nie wstępując do żadnej z chat po drodze, maszerował prosto do tarnawskiego kościoła pod wezwaniem świętego Józefa, patrona rodzin.

Nocną porą w świątyni było niewiele osób. Wszyscy uczestnicy nabożeństwa zwracali szczególną uwagę na młodą parę stojącą przed ołtarzem oświetlonym płomykami świec. No i oczywiście na zastęp

uzbrojonych i ubranych w polskie mundury żołnierzy z antykomunistycznych oddziałów partyzanckich. Ona miała na sobie białą suknię, a jej piękna twarz jaśniała szczęściem. On był w mundurze, ale jego oczy również skrzyły się radością. Przedziwnym trafem przez okno kościoła blask księżycy wdarł się do budynku i fantastycznie oświetlił młodą parę oraz stojącego przy nich księdza. Zebrani wierni odczytali ten znak jako prawdziwy symbol bożego błogosławieństwa.

– Ja, Aleksander, biorę ciebie, Stefanio, za żonę i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący w Trójcy Jedyny i Wszyscy Święci.

– Ja, Stefania, biorę ciebie, Aleksandrze, za męża i ślubuję ci miłość, wierność, posłuszeństwo i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż, Panie Boże Wszechmogący w Trójcy Jedyny i Wszyscy Święci.

Kiedy wymówiła te słowa, dwie duże łzy popłynęły po jej policzkach. Jedna ze wzruszenia, druga – ze szczęścia. Tego dnia stała przed samym ołtarzem, twarzą w twarz z Bogiem, mając ukochanego przy boku. Czego chcieć więcej?

Po ślubie młodzi pojechali saniami na wesele do domu rodzinnego Stefanii, do Kuryłówki, gdzie gości weselnych witali rodzice młodych. Rozochoceni żołnierze nie żalowali sobie alkoholu, zabawom nie było końca. Niektórych, mających już zbyt gorące głowy, musiał strofować sam dowódca. To wówczas na dobre Michał pojednał się z Aleksandrem, wybacząc mu stary kawał, i wspólnie wychylili niejeden toast. W ciemnościach nocy kilku partyzantów wyskoczyło na dwór z bronią i serie z pistoletów maszynowych za-grzmiały w zimowej ciszy. Inni zabrali ze sobą erkaemy ze świetlnymi pociskami i smugi jasnych paciorków poleciały ku niebu. Wokół rozbrzmiewały wesole okrzyki, śpiewy i muzyka, a erkaemy na wiwat grały całą noc. Aż wystraszeni milicjanci w okolicznych wsiach

barykadowali się na posterunkach, myśląc, że to „Wołyniak” ze swoją grupą przybywa walczyć z komunistycznym reżimem.

Grubo po północy młodzi wymknęli się ze swego hucznego wesela. Sam „Wołyniak” przypilnował, by mogli swobodnie odejść, nie nękanymi przez gości weselnych. Wszak została im jeszcze najprzyjemniejsza sprawa – niezapomniana, niezemska noc poślubna.

* * *

Monotonnie mijały dni partyzanckiego życia w wiecznej tułaczce. Większą część czasu oddział „Wołyniaka”, przy którym przebywali „Perelka” i „Kula”, spędzał w leśnych obozach bądź na kwaterach



.....

Ostatni i najwierniejsi partyzanci od „Wołyniaka”, od lewej: Adam Kusz „Garbaty”, Michał Krupa „Wierzbą”, Wiktor Pudelko „Wiktor” i Tadeusz Haliniak „Opium”, sierpień 1950 r. (zbiory Dionizego Garbacza)

u zaprzyjaźnionych leśników lub gospodarzy. Codziennosc oznaczała dla nich nierzadko głód, pragnienie, wszy, choroby, zimno i brud. Historycy w swych rozprawach najczęściej opisują partyzanckie akcje bojowe, bitwy i potyczki. A tak naprawdę przez większość dni swego przyziemnego żywota leśni ludzie martwili się o to, co wrzucą do garnka lub kiedy zamienią wreszcie dziurawe, przemakające buty na nowe.

Ta codzienna szarość trochę zniechęciła Stefanię, która, jak chyba każda kobieta po ślubie, chciała mieć prawdziwą rodzinę – męża, dom i dzieci. Dlatego coraz smutniej robiło się jej, kiedy wybiegała myślami w przyszłość. Bo jakie perspektywy miał partyzant wyklęty? Kula w potylicę, stryżek, więzienie i tortury bez końca? Mąż jej opowiadał, co robili z nim ubecy po tym aresztowaniu, kiedy uciekł, wyskakując z okna. Innymi słowy – partyzanckie życie to nie był szczyt marzeń dla młodej żony, która zresztą spodziewała się dziecka. Wielokrotnie nagabywała Aleksandra do porzucenia tej marnej egzystencji i zamieszkania u którychś z rodziców, by ułożyć sobie normalne życie w nowej rzeczywistości. Mąż strofował ją, że takie normalne życie skończyłoby się niechybnie komunistycznym aresztem. Pewnie miał rację, ale ona wybiegała już w przyszłość i myślała o narodzinach i wychowaniu dziecka.

Trwali więc w dalszym ciągu przy „Wołyńniku”, ale w terenie robiło się coraz ciasniej, gdyż komuniści za wszelką cenę postanowili zgnieść każdy, nawet najmniejszy, opór społeczny w tym zakątku Polski. Z każdym tygodniem więcej komunistycznych oddziałów i milicji kwaterowało w pobliżu. A ich coraz dokładniej zorganizowane akcje i oblawy stawały się naprawdę niebezpieczne. Nadszedł trudny czas i nawet sam dowódca nie był w stanie zapanować już nad swymi żołnierzami. Wielu ludzi (w tym część najbardziej zaufanych) wyjechało na Ziemię Odzyskane, inni po prostu powrócili do domów. Podupadało morale żołnierzy „Wołyńnika”, którzy powoli zatracali swą hierarchię wartości. Partyzanckie życie, osaczenie i brak perspektyw

na przyszłość wyczerpywały ludzi psychicznie. Zdarzały się niesnaski pomiędzy nimi, a niektórzy samowolnie porzucali oddział i poczynali chodzić z bronią na własną rękę. W drugiej połowie roku 1946 grupa „Wołyniaka” praktycznie nie przeprowadzała żadnych akcji ofensywnych, skupiwszy się jedynie na przetrwaniu. Jesienią przy Józefie Zadzierskim pozostało niewielu najwierniejszych druhów. Pośród nich byli Stefania i Aleksander Pityńscy oraz Michał Krupa.

Wraz ze zbliżającą się zimą nadciągał najtrudniejszy okres walki dla tych ostatnich niezłomnych. W październiku komunistyczne wojsko zaatakowało partyzancki obóz w lasach koło Brzyskiej Woli, a w listopadzie podczas obławy i strzelaniny „Wołyniak” został postrzelony w prawą rękę. Kula rozorała ramię trochę powyżej łokcia, ale wydawało się, że rana nie jest groźna. Zadzierski z dwoma partyzantami wydostał się z matni, a poranioną rękę jako pierwsza opatrywała mu „Perelka”. Zrobiła wszystko jak należy, oczyściła ranę, odkażyła, obandażowała. Mimo fachowej opieki – jak się miało potem okazać – rana ta przyczyniła się do przedwczesnej śmierci partyzanckiego dowódcy.

Stefania nie uczestniczyła już wówczas w bezpośrednich walkach i praktycznie zaprzestała działalności konspiracyjnej. W obliczu ciąży i zbliżającego się rozwiązania najczęściej przebywała w ukrytych leśnych bunkrach (obozach z ziemiankami) albo na tajnych kwaterach u zaprzyjaźnionych gospodarzy. „Kula”, w przeciwieństwie do młodej żony, często stacjonował przy „Wołyniaku”. Ale nie było go w momencie śmierci dowódcy. Józef Zadzierski, z zakażoną gangreną ręką, popełnił samobójstwo. Był to kres zorganizowanej działalności grupy „Wołyniaka”. Większa część jego dawnych ludzi próbowała powrócić do normalnego życia. W lesie pozostały dwie kilkunastuosobowe grupki walczących, a wśród nich brat „Perelki”.

Stefania i Aleksander postanowili spróbować normalnie żyć w nienormalnych czasach komunistycznego totalitaryzmu. Za tym

rozwiązaniem od dawna opowiadała się „Perełka”, myśląca i czująca już wtedy jako przyszła matka i opiekunka dziecka, a nie żołnierka organizacji niepodległościowej. W stanie błogosławnym zmieniało się nie tylko jej ciało, ale i życie. Powoli zaokrąglął się jej brzuszek, miała większy apetyt, trudny do zaspokojenia w partyzanckich warunkach. Nie chciała, aby jej syn (bo przeczuwała, że to będzie chłopiec) narodził się gdzieś w brudnej i ciemnej leśnej norze. Martwiła się również o Aleksandra i w duszy prosiła Boga, aby dziecko, zaraz po narodzinach, nie okryło się żałobą po tacie.

Na początku roku 1947 młodzi zamieszkali u rodziców Aleksandra w Ulanowie i tym samym zakończyli partyzancki okres swojego życia.

* * *

Delikatna marcowa noc układała do snu życie w niewielkiej osadzie. Było chłodno, ale w powietrzu dało się już odczuć wiosnę. Unosił się zapach zimnej i wilgotnej ziemi, świeżej trawy. Gospodarskie zwierzęta poszły już spać, a w oknach domów po kolei gasły światła. Cisza i bezruch działały usypiająco na dwóch gospodarzy, którzy obchodzili miasteczko w ramach straży nocnej. Taka nocna ochrona miała zapobiec ewentualnym pożarom, ale też w czasie powojennego zagrożenia ukraińskimi napadami czy zwyczajnymi rabunkami strażnicy często jako pierwsi zauważali niechcianych i groźnych przybyszów. Niejednokrotnie wszczęty zawczasu alarm ratował ludzkie życie lub majątek mieszkańców. Cichy, acz monotony obchód prowokował czasami ujadanie psów, ale w większości Ulanów pograżony był we śnie. Tylko w jednym domu okna pozostawały rozjaśnione od środka światłem lamp.

W rodzinnym domu Pityńskich tej nocy nikt nie spał. Wieczorem Stefania dostała skurczy, ale było już za późno, by biegać po

osadzie i szukać akuszerki. Matka Aleksandra postanowiła sama odebrać poród.

– Nie martw się, córuchna – pocieszała „Perelkę”, ocierając jej krople potu z czoła. – Wszystko będzie dobrze.

– Dobrze? – myślała zrozpaczona dziewczyna. – Z teściową jako położną?



.....

Stefania i Aleksander z malutkim Andrzejem (zbiory Andrzeja Pityńskiego)

Chciała uciec, lecz nie miała dokąd, a ból stawał się coraz mocniejszy i częstszy. Nawet męża nie było przy niej, gdyż starym zwyczajem gospodyni wyгнаła wszystkich mężczyzn z pokoju. Nie byli jej potrzebni do porodu, miała wszystko przygotowane, a w myślach odmawiała kolejne zdrowaśki w intencji mającego przyjść na świat dziecka.

– Oddychaj miarowo – uspokajała starsza kobieta. – Jeszcze godzinka, dwie i będzie po wszystkim.

Wielki ścienny zegar wybijał właśnie dwunastą, kiedy lampa nadtowa zaczęła nagle kopcić i zgasła gwałtownie, pograżając dwie kobiety w nieprzeniknionej ciemności.

– To zły znak – pomyślała „Perelka” pomiędzy skurczami.

– Nic się nie martw, dziecinko, mamy jeszcze świece – trzask zapalniczki rozświetlił pomieszczenie i natychmiast zapłonęła świeczka. Wszystko było przygotowane – czysty biały becik, pieluszki, kołyska. Nawet imię dla dzidziusia – dla chłopczyka Andrzej, a dla dziewczynki Zosia.

Tymczasem w sąsiedniej izbie dwóch mężczyzn oczekiwało na krzyk noworodka. Stary Pityński siedział spokojnie na fotelu bujanym i cierpliwie znosił udrękę niepewności. Natomiast jego syn, Aleksander, z niepokojem przemierzał pokój, chodząc w kółko. Miały minuty, a zza zamkniętych drzwi nie dochodził żaden odgłos.

– Posnęły czy co? – denerwował się w myśli „Kula”.

– Będę miał wnuka – radował się w duchu jego ojciec. Ale zaraz poprawiał się: – Albo wnuczkę...

Kiedy księżyc przemierzył długą drogę na nieboskłonie i zaraz miało rozbrzmieć pianie kogutów, drzemkę mężczyzn przerwał najpierw krótki, zduszony krzyk kobiety, a po chwili niemiłosiernie głośny płacz dziecka. Do pokoju pierwszy wpadł Aleksander i porwał na ręce dzidziusia, tuląc do siebie zmęczoną, ale szczęśliwą Stefanię.

– Syn – powiedziała z dumą „Perelka” i wydobyła z siebie resztki sił, by pocałować w usta kochanego męża. Potem jej głowa opadła na poduszkę. Nareszcie mogła odpocząć.

– No, kochani – komenderowała szczęśliwa babcia – teraz trzeba będzie pomyśleć o chrzcie.

* * *

Narodziny dziecka całkowicie odmieniły życie państwa Pityńskich. Wiedzieli już, że należy porzucić jakąkolwiek myśl o powrocie do partyzantki i konspiracji. Dla bezpieczeństwa rodziny i nowo narodzonego Andrzeja.

Przed jego przyjściem na świat w Polsce miały miejsce niebagatelne wydarzenia. Najpierw, na początku roku, w przedziwnych wyborach zwyciężyli komuniści. A alternatywa dla nich – PSL premiera Stanisława Mikołajczyka – przestała praktycznie istnieć. W miasteczku chodziły słuchy, że podczas głosowania sprzed lokali wyborczych milicjanci i wojsko zgarniali zwolenników Mikołajczyka, zamykając ich na jeden dzień – na czas wyborów. Ludzie ci nie zdążyli oddać wyborczego głosu. W kolejnym miesiącu komunistyczny reżim ogłosił wielką amnestię, zachęcając żołnierzy konspiracji antykomunistycznej i byłych partyzantów do ujawnienia się. Naturalnie amnestia miała anulować wszystkie ich dotychczasowe przewinienia wobec „legalnej” władzy ustanowionej przez Moskwę.

– Pójdę, ujawnię się – rzekł pewnego dnia Aleksander. – Będziemy mieli spokój. Nikt nie wpadnie do nas nocą i nie zaciągnie na wpół śpiących do aresztu.

Pomysł ten od dawna chodził mu po głowie. Korzystając z amnestii, chciał ochronić nie tylko siebie, ale głównie swoją rodzinę – żonę i małego synka. Przeczował, że wcześniej czy później i tak UB przypomni sobie o nim. Wszak już kiedyś uciekł z ich aresztu,

a jego dane zostały w ubeckich kartotekach. Zostawił u nich swój ślad i z pewnością kiedyś wykorzystają go i załomocą do jego drzwi. A on chciał żyć spokojnie. I zagwarantować bezpieczeństwo najbliższym.

– Jak chcesz, kochany – zgodziła się „Perelka”. – Może to rzeczywiście dobry pomysł? Ale ja nie mam teraz czasu na jakieś wyjaśnienia, przesłuchania, relacje. Nigdzie się nie wybieram. Wybacz, miły, ale teraz najważniejszą osobą na świecie jest dla mnie Andrzej, a nie jakiś ubecki funkcjonariusz czy podszywający się pod niego prowokator. – Jej ciepłe usta zostawiły łagodny pocałunek na jego nieogolonej twarzy. – On jest najważniejszy. Już nawet nie ty, ale Jędrzek.

Stefania widziała, jak przez kilka kolejnych dni jej mąż snuł się po domu, walcząc z myślami, nie mogąc zdecydować, co począć. Ostatecznie któregoś ranka oznajmił żonie, że idzie się ujawnić. Wyszedł

<p style="text-align: center;">ZAŚWIADCZENIE</p> <p style="text-align: center;">Nr 652964 / 1063216</p> <p>PITYŃSKA Nazwisko</p> <p>STEFANIA Imiona</p> <p>06.09.1925r. KURYLÓWKA Data i miejsce urodzenia</p>  <p style="text-align: center;">Uprawnia do przejazdów PKP i PKS w/g 50% zniżki</p> <p><i>Stefania Pityńska</i> podpis posiadacza zaświadczenia</p>	 <p>URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH</p> <p>Niniejsze zaświadczenie uprawnia do ulg i świadczeń określonych w ustawie z dnia 24 stycznia 1991 r. o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego (Dz.U. nr 17, poz. 75 z późniejszymi zmianami).</p>  <p>05.04.96 Data</p> <p>m.p. DYREKTOR Departamentu Weryfikacji <i>dr Jan Szafraniec</i></p>
--	--

.....

Zaświadczenie Stefanii Pityńskiej z Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych z roku 1996 (zbiory Andrzeja Pityńskiego)

żegnany serdecznie przez wszystkich domowników. Nie zabrał broni, gdyż w domu żadnej nie posiadał. Zdał ją już wcześniej, zanim odszedł z oddziału. Wiedział za to o kilku ukrytych magazynach broni, ale swoją wiedzą nie zamierzał dzielić się na UB.

Kiedy powrócił cały i zdrowy, domownicy odetchnęli z ulgą. A najbardziej „Perełka”, która mimo wszystko obawiała się komunistycznej prowokacji. Teraz wszystko miało iść już w dobrym kierunku. Tak się przynajmniej wydawało.

Niestety, nie minął tydzień, a komuniści przypomnieli sobie o ujawnionym partyzancie z Ulanowa. Tego dnia na rynku w miasteczku odbywał się jarmark, a Aleksander pomagał swemu ojcu rozładowywać wóz ze zbożem. Nagle do furmanki podbiegł ubek ubrany po cywilnemu i, wyciągając radziecki pistolet, krzyknął: „Ręce do góry, ty bandyto!”. „Kula”, nim zdążył pomyśleć, zaczął działać. Skoczył na komunistę, wyrwał mu pistolet i z całej siły uderzył go nim w głowę. Prowokator padł nieprzytomny, Olek musiał uciekać, ostrzeliwując się przed komunistyczną pogonią. Ukrył się skutecznie, ale nie na długo. Ubecy zagrozili represjami skierowanymi w jego rodzinę. Chcąc chronić żonę i synka, Aleksander zjawił się na posterunku MO w Ulanowie. Oddał pistolet, został natychmiast skuty kajdankami i przewieziony do siedziby UB w Nisku. Tam był strasznie katowany – bity pałkami i trzymany w lodowatej wodzie. Przesłuchaniem i wymyślnymi torturami kierował ubek Roman Krawczyński. Sześć miesięcy trwało śledztwo w siedzibie UB w Nisku, w końcu Aleksandra Pityńskiego przewieziono do więzienia na zamku w Rzeszowie. Po drodze pijani ubecy przeprowadzili pozorowaną egzekucję. Oni strzelali dookoła związanego byłego partyzanta, a on modlił

.....

Dokumenty Stefani Pityńskiej, legitymacja ZUS, legitymacja o przyznaniu Medalu Wojska oraz Krzyża Armii Krajowej (zbiory Andrzeja Pityńskiego)

się w duchu, by w końcu trafili. Po czterech miesiącach przetrzymywania w lochach rzeszowskiego zamku „Kula” został zwolniony. Na tym jednak nie skończyły się represje. Ciągłe prowokacje, naloty, rewizje i zatrzymania to była metoda ówczesnych władz, dzięki której chciały tak sponiewierać ludzi, aby w końcu sami zaczęli przyznawać się do absurdalnych, wymyślonych przez UB win. Za brak pokory, hardość oraz niezłomność płacili zdrowiem wszyscy. Zapamiętanie w nękanii Pityńskich miało jednak jeszcze inną przyczynę. Brat Stefanii Michał Krupa w dalszym ciągu pozostawał w partyzantce i prowadził działalność „wywrotową”. Funkcjonariusze podejrzewali, że Stefania i Aleksander dają schronienie „Wierzbie”, więc na porządku dziennym były nocne naloty oraz przeszukiwania domu i budynków gospodarczych. Zrywano deski z podłóg, a raz rozebrano nawet piec kaflowy, szukając w nim ukrytego partyzanta.

Jedna tragiczna noc szczególnie utkwiała w pamięci domowników. Było to zimą, zaraz po Bożym Narodzeniu. O godzinie czwartej nad ranem do ich domu wpadli uzbrojeni w pepesze ubecy. Wyłamali drzwi i wygonili wszystkich na podwórze, gdzie pod lufami karabinów trzymali ich na śniegu w mroźną zimową noc. „Peretka” płakała, kiedy kaci zaczęli znęcać się nad jej mężem. Chciała biec na ratunek, ale dostała silny cios kolbą w pierś i upadła w śnieg. Potem już tylko klęczała, załamując ręce i szlochając, a ojciec Aleksandra, roniąc pojedyncze łzy, trzymał mocno w ramionach kilkuletniego Andrzeja. Sześciu ubeków systematycznie biło „Kulę” pałkami i kolbami karabinów. Nie mógł się nawet zasłonić, ponieważ wcześniej skuto mu ręce z tyłu tułowia. Stał bezbronny, bosi i półnagi na śniegu, a uderzenia spadały na jego głowę i całe ciało. Krew bryzgała na wszystkie strony, a białe kalesony robiły się od niej coraz czerwiesze. Czerwony był też śnieg pod jego stopami. Tak sponiewieranego wrzucili do samochodu i wywieźli w nieznane. Rankiem rodzina zbierała zakrzepłą i zamrożoną krew Aleksandra ze śniegu do słoika, jak jakąś relikwię.

Wszyscy płakali. Mały Andrzej również – po raz ostatni w swym życiu. Po skatowaniu i zabraniu męża „Perelka” nie mogła się uspokoić. Często płakała i miała jak najgorsze myśli. Z czasem jednak zamknęła się w sobie, stając się jeszcze bardziej twarda i niezłomna.

Aleksandra niebawem wypuszczono na wolność, ale i tak nie dane mu było zaznać spokoju. Wciąż był przedmiotem prowokacji i represji. Jeszcze w stanie wojennym męża Stefanii internowano w Załężu, gdyż „zagroził socjalistycznej ojczyźnie” i „nawoływał do zamieszek”. Podobno w czasach „Solidarności”, przed wprowadzeniem stanu wojennego, „Kula” mówił, że jak się tylko coś ruszy, to on uzbroi pół Ulanowa. Tuż przed śmiercią został awansowany do stopnia porucznika Wojska Polskiego. Za swą walkę o niepodległą Ojczyznę został odznaczony Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem „Burza” oraz Medalem Wojska. Wcześniej dowództwo NOW-AK uhonorowało go Krzyżem Walecznych za bitwę pod Kuryłówką. Aleksander Pityński „Kula” zmarł 16 grudnia 1994 roku i został pochowany na cmentarzu w Ulanowie.

Stefanię Pityńską z domu Krupa ps. Perelka również doceniono za działalność na rzecz niepodległości Polski, odznaczając ją między innymi Krzyżem Walecznych, Krzyżem AK, Krzyżem „Burza” i Medalem Wojska. Awansowana została także na stopień podporucznika. Stefania zmarła 15 grudnia 1997 roku i pochowano ją obok męża.

Nie sposób nie zadać pytania, czy „Perelka” nie zmarnowała czasem swego życia, działając w antyniemieckiej i antykomunistycznej partyzantce, a potem wiążąc się z partyzantem od „Wołyniaka”, który postanowił zawierzyć dobrym intencjom komunistycznych amnestii i się ujawnić. Może się wydawać, że dziewczyny, kobiety powinny stronić od wojny, zabijania, śmierci. Są przecież piękne, subtelne, stworzone, by żyć i kochać. Ale przecież Stefania kochała, a miłość jej i Aleksandra pozostawiła na ziemi trwałe ślad. Tym niezaprzeczalnym znakiem istnienia „Perelki” i „Kuli” jest Andrzej Pityński, mistrz rzeźby.

* * *

Andrzej Pityński, będąc partyzanckim dzieckiem Żołnierzy Wyklętych, już od najmłodszych lat nie miał łatwego życia. Jako kilkuletni chłopiec był świadkiem nalotów bezpieki, domowych rewizji i katowania ojca na oczach bezsilnej rodziny. W szkole nauczyciel, komunistyczny aparatczyk, na radzie pedagogicznej wykrzykiwał o Andrzeju: „Komu chcecie dać maturę? Bandycie?!”. Mimo ciągłych szykan chłopcu udało się zdać maturę w 1964 roku i złożyć dokumenty do Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej. Niestety partyzancka przeszłość rodziców uniemożliwiła mu kształcenie w wojskowej szkole. Andrzej kontynuował naukę w technikum i skończył je z tytułem technika melioranta. W grudniu 1967 roku bezpieka i Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej (ORMO) przeprowadziły w Ulanowie spektakularną prowokację wymierzoną bezpośrednio w Andrzeja. Kilku podpitych ormowców zaatakowało jego ojca pod miejscową gospodą, a pozostali dali znać Andrzejowi, że ktoś bije jego tatę. Zaalarmowany młodzieniec bezzwłocznie ruszył do akcji i szybko wyeliminował czterech napastników. Niestety do bójki włączyli się kolejni prowokatorzy, a w dodatku na Andrzeja poszczuto milicyjnego psa. Po miesiącu od tego zdarzenia w kinie „Hel” na środku ulanowskiego rynku, w niedzielę po sumie, pokazowo sądzono (po raz pierwszy i ostatni) młodego Pityńskiego – „bandytę” i „chuligana”. Na proces spędzono przymusowo młodzież z liceum i mieszkańców miasteczka, a Andrzeja przyprowadzono skutego kajdankami w asyście uzbrojonego milicjanta. Nie skazano go na karę więzienia, ale po tym incydencie Andrzej zniknął z Ulanowa. Uczył się w Krakowie w Studium Nauczycielskim, a następnie studiował rzeźbę na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie pod okiem prof. Jerzego Bandury. Skończył naukę w roku 1974 i wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie specjalizował się na kierunku odlewania rzeźb z brązu. W USA

Andrzej odkrył, że historia polskiego narodu jest tam przekłamywana, przemilczana, a nawet częstokroć ponizana. Jak sam mówi: „Pozostała mi walka o prawdę i honor polskiego narodu, a moją bronią jest moja sztuka”.

Andrzej Pityński do dziś tworzy piękne, niezwykle, monumentalne rzeźby. Najważniejsze dzieła artysty to *Partyzanci nr I* (Boston), *Mściciel* (Doylestown), *Katyń 1940* (Jersey City), *Armia Błękitna* (Warszawa), *Partyzanci nr II* (Hamilton), *Patriota* (Stalowa Wola) i *Światowid* (Hamilton). Wymienione rzeźby są wyjątkowe, uosabiają ducha polskiego narodu, opowiadają o prawdziwej historii naszego kraju. Mówią o latach chwały oręża polskiego, o tragicznych dziejach naszej Ojczyzny, ale mają też przypominać o – nie do końca czystym – sumieniu zachodniego świata w kwestii jego stosunku do Polski.

Rzeźba *Partyzanci nr I* odsłonięta w Bostonie w roku 1979 to pierwszy na świecie pomnik poświęcony Żołnierzom Wyklętym. *Mściciel* i *Patriota* to polscy skrzydlaci rycerze, jeden ze Szczercbem,



.....

Partyzanci z Bostonu (zbiory Andrzeja Pityńskiego)

drugi z sarmacką szablą – są „narodowym symbolem niezłomności, walki, zwycięstwa i umiłowania wolności”. *Katyń 1940* nie pozwala zapomnieć o sowieckiej zbrodni oraz ciosie w plecy wymierzonym walczącej z hitleryzmem Polsce. Natomiast *Armia Błękitna* upamiętnia wojsko gen. Józefa Hallera przybyłe do Polski i wkład Polonii amerykańskiej w dzieło odzyskania przez Polskę niepodległości.

Szczególnie rzeźba *Partyzanci z Bostonu* ma swoją głęboką wymowę i jest wyjątkowym wspomnieniem „lat znojnych”. Będąc jeszcze w Polsce, jako młody chłopiec, Andrzej wraz z tatą pomagał Michałowi Krupie, dostarczając mu potrzebne zaopatrzenie. Wówczas widział prawdziwych polskich wolnych partyzantów z podziemia antykomunistycznego, konnych uzbrojonych jeźdźców, wiecznych żołnierzy. Wrażenie, jakie wywarli na młodym Andrzeju, było tak silne,



.....

*Mistrz Andrzej Pityński obok swoich Partyzantów nr II z Hamilton
(zbiory Andrzeja Pityńskiego)*

że obraz ten pozostał w jego sercu na całe życie, a w przyszłości stał się bodźcem do powstania rzeźb *Partyzanci*. Andrzej wspomina: „Jako mały chłopiec odwiedzałem mojego wuja w jego leśnych bunkrach. Mając jedenaście lat, widziałem go jako wolnego partyzanta. Zimą w 1958 roku razem z ojcem, konno w siodłach, przez skutą lodem Tanew dostarczaliśmy Michałowi zaopatrzenie i lekarstwa. Odprowadził nas potem konno z dwoma partyzantami. Kiedy jechaliśmy, strzemię przy strzemienu, wzdłuż koryta Tanwi, słońce rzucało nasze długie cienie na tafle lodu zamarznętej rzeki. Godzinami wpatrywałem się w tę poruszającą się masę końskich nóg, szyi, głów, sylwetek w siodłach z erkaemami sterczących luf zawieszonymi na ramionach, z granatami przy pasach, z bagnetami w cholewach kawaleryjskich butów, w wydłużone przez słońce sylwetki cieni jeźdźców, partyzantów, ostatnich polskich bohaterów. I wtedy poczułem się jednym z nich”.

Monument *Partyzanci* z Bostonu ma 10 metrów długości, 7 metrów wysokości i 4 metry szerokości. Rzeźba przedstawia partyzantów NOW-NZW (Narodowego Zjednoczenia Wojskowego): „Wołyniaka”, „Wierzbę”, „Majkę”, „Garbatego” i „Kulę”. Na postumencie widzimy pięciu konnych jeźdźców, nieulekłych desperatów, wiecznych wojowników. Partyzanci ci, ze spuszczoneymi głowami, pod ciężarem własnych myśli, raczej już bez nadziei na lepszą egzystencję, jadą strzemię w strzemię ku swemu tragicznemu przeznaczeniu. Niewidome ze zmęczenia konie łapią chrapami woń lasu i wyczuwają, jak wilki, kierunek drogi. Nad szykiem niezłomnych wojowników w kierunku nieba sterczą lufy karabinów, jak kopie średniowiecznych rycerzy albo maszty niezwykniętych okrętów.

Partyzanci nr II z Hamilton różnią się nieznacznie od pierwowzoru z Bostonu. Polscy żołnierze już nie mają spuszczonej głowy, lecz patrzą hardo i dumnie w oczy swej przyszłości, naznaczonej często śmiercią. Na jednej z lanc tych niezmordowanych rycerzy

walczących o wolną Polskę łopocę – jakże by inaczej – biało-czerwony proporczyk.

Po tragicznej dla Polaków katastrofie smoleńskiej Andrzej Pityński wziął udział w konkursie na pomnik upamiętniający to wydarzenie. Stworzył makietę przedstawiającą husarza z oderwanym lewym skrzydłem. Skrzydlaty rycerz wraz z koniem próbują oderwać się od ziemi i wzbić się w niebo. W zamyśle miała to być monumentalna kompozycja z nierdzewnej stali polerowanej na srebro. Niestety w konkursie wygrał inny projekt, bardzo negatywnie oceniony przez mistrza Pityńskiego: „(...) nie rzeźbiarski, ale architektoniczny, minimalizm, konstruktywizm bolszewicki z lat 20. ubiegłego wieku”.

Andrzej Pityński jest nie tylko sławnym rzeźbiarzem, ale przede wszystkim polskim patriotą i katolikiem, który – choć mieszka za oceanem – tworzy „instynktem i sercem polskim”. Opowiadając o swoich pracach, mówi: „Musimy tworzyć takie rzeźby monumentalne, żeby inne narody wyczuły w nich temperaturę «polskiej krwi». Krwi, która przechodzi z pokolenia na pokolenie, jest wieczna i niezniszczalna. Pomniki monumentalne to słupy milowe w historii narodu, nie pozwalają innym systemom i filozofiom zniszczyć waloru i rdzenia kultury narodowej. Pomniki milczą, lecz uczą przez wieki i pokazują następnym pokoleniom, kim jesteśmy, skąd przyszliśmy i dokąd idziemy”.